№ 27 WARSZAWA d. 22 Czerwca (4 Lipca) ROKU 1874

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerowac można w księgarni Leitgebera; - W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

RUCH UMYSŁOWY
W AMERYCE

PRZEZ

Sygurda Wiśniowskiego.

O ile gazeciarstwo tutejsze przewyższa europejskie czasopisma formatem, taniością, wnikaniem pomiędzy najniższe warstwy ludu i obfitością nowin, o tyle ruch książkowy pozostaje po za angielskim lub niemieckim. Żyjemy zbyt szybko, gorączkowo, czytamy zbyt pośpiesznie, by co nie zjawia się w formie Tygodnika lub Gazety, co nie może być przeczytanem dorywczo przy śniadaniu, lub w kolejowym powozie, wkradło to się często w czytające massy. Te zaś tworzy tu naród cały, gdyż z wyjątkiem najuboższych warstw przybywających z Europy, każdy obywatel Rzeczypospolitej czytać umie i czytuje chętnie. Najuboższy sąsiad mój trzyma dziennik tygodniowy i pożycza odemnie wszystkie moje czasopisma angielskie.

Pomimo że większości wystarcza literatura dziennikarska, niemały jednak ruch umysłowy i wydawniczy panuje we wschodnich stolicach, jak N. Jork, Boston i t. p. Ale na nieszczęście, mało z dzieł poważnych, pojawiających się tam, dochodzi na zachód, gdzie rozprzedawanie książek nie w sklepach księgarzy się odbywa, bo tych tu nie wiele, lecz za pośrednictwem agentów czyli kolporterów rozwożących często pługi, kawę, cukier i strawę duchową na jednym wózku. Oczywiście że to są ludzie nieczytający i nieznający dzieł polecanych li z okładek. To też poważni autorowie i wydawcy nie powierzają im swego towaru, a tylko najlichsze romansidła z czerwonoskórnemi bohaterami lub pełne najstraszliwych awantur, za ich pośrednictwem psują smak narodowy.

Przy takim stanie rzeczy, tylko z trudnością mogłem się zaopatrzyć w książki niezbędne, by poznać z nich celniejszych nowożytnych autorów.

W powieściopisarstwie, a nawet w przelotnej poezyi amerykańskiéj, odbijają się wiernie dwie cechy tutejszego charakteru: realizm i rodzaj humoru zupełnie nieznany w Europie, zasadzający się na wyszukiwaniu śmiesznej strony każdego zdarzenia, i wygłaszania jej narzeczem warstw niewykształconych, które w Anglii nazwanoby *slang*. Próbki takiego angielskiego psucia mowy, znajdzie czytelnik w Dickensa powieściach, i to często. Niemal cały humor Samuela Wellera w Pikniku, opiera się na wypowiadaniu na sposób londyński wyników ulicznej mądrości. Amerykanie przesadzili i Dikensową przesadę, humoryści ich tak już piszą i tak przekręcają ortografię w chęci oddania mowy ludowego *patois*, że tylko żyjąc pomiędzy ludem tutejszym przez czas niejaki, zrozumiałby europejski czytelnik koncepta Marka Twajna, Josz Bikinga a nawet Artemusa Warda, króla tutejszych humorystów. Raz zrozumiawszy ich musimy jednak podziwiać świeżość i nowość humorystyki Amerykańskiej. Gdyby poważniejsi powieściopisarze nie zdobili swych gawęd konceptami w stylu murzyńskim lub nieokrzesanych mieszkańców brudnych zaułków i puszcz, lecz pozostawiali je wyłącznie humorystom, pisma ich stałyby się daleko znośniejsze do czytania.

Niestety! epoka Cooperów i Hawthornów minęła. Dzisiejsi noweliści nie wierzą w idealnych czerwonoskórców, marynarzy pełnych rycerskości, trapperów śmiesznych lecz i szlachetnych jak don Kiszot. Ich Indyanie są kopiami wiernemi pijanych dzikunów włuczących się po stepach o głodzie i chłodzie, majtkowie ich ogołoceni są ze wszystkich zalet. Mieszkańców siół i puszcz przedstawiają jakiemi są w istocie, zgraja łapczywych, przebiegłych awanturników, lub nieokrzesanych emigrantów z Europy. Słowem większość powieści wydanych w ostatnich latach, tak maluje wiernie stan społeczeństwa jak książka sumiennego podróżnika, lecz innej zasługi nie mają, bo i styl nawet hołdujący szkole psującej zwolna i jakby na złość Anglikom czystość mowy, nie zawsze godny pochwały.

I jakaż to szkoda, że nawet tak utalentowani pisarze jak np. Brett Harte, nie mogą się otrząść z ciągłego sadzenia na humor; ustawicznego używania *slangu* i dobierania li codziennie spotykanych charakterów. Harte jednak, dawny włuczęga awanturniczy, kopacz złota i Bóg wie co jeszcze, umie wyzyskiwać świat w którym żył długie lata, i rzetelniej jak którykolwiek znany mi pisarz przedstawia życie taką odziane romantycznością przez powieściarzy i podróżników, w kopalniach i zakątach Nowego Świata do których się cisną wyrzutki innych społeczeństw, a chociaż zawsze tylko kopiuje oryginały spotykane w wędrówkach, często jednak mnie samego zadziwia, znającego przecież wszystkie ujemne strony tego awanturnictwa włóczęgowego.

Przed kilkoma miesiącami, pojawiła się tu powieść napisana przez słynnego znalazcę Liwingstona, p. Stanleja, p, t. „Mój Kalulu". Nietknięty dotąd przez powieściopisarzy świat w środkowej Afryce, dostarcza autorowi krajobrazów i bohaterów. Opis kraju i zwyczajów tak doskonały w tem dziele, że rzeczywiście dowiedziałem się zeń więcej o krajach nad górną Zambegi, jak z obszernego sprawozdania tegoż autora o sposobie odszukania Liwingstona. Co do osób wprowadzonych, to wątpię czy nawet w Afryce znajdują się Sułtanowie w jednej chwili ścinający własnoręcznie poddanych, a nawet potem spełniający wyniosłe czyny młodzieńcy czarni, połączeni przyjaźnią zaćmiewającą miłość Pyladesa i Oresta i t. p. dziwadła. Pomimo wielkiej przesady, dzieło Stanleja zajmie każdego czytelnika, chcącego nabrać wyobrażenia o zwyczajach w najmniej znanej części świata.

Zdaje się że tak już wyczerpano prawie wszystkie temata życia społecznego, mogące posłużyć za tło do powieści, że nie tylko Harte i Stanlej musieli odbywać niebezpieczne pielgrzymki by poznać coś nowego. Znudziwszy publiczność wyprowadzaniem na scenę łotrów i fałszerzy, awanturników i Indyanów, przed-

siębiercy literatury już Chińczyków, Brazylianów a nawet podbiegunowych Eskimosów, czynią bohaterami powieści. Nawet Papuanie australscy, po raz pierwszy pewno, odgrywają znakomitą rolę w poemacie wydanym niedawno przez p. O. Reilly, młodzieńca którego świetna oczekuje przyszłość. Autora „króla Wassy" tak bowiem podpisał Australski swój poemat, wysłał rząd angielski do zachodniej Australji, za udział w spisku Fenianów. Poeta nasz nie długo tam bawił jednak, gdyż porwawszy małą próżną łódź, puścił się na otwarte morze bez kompasu, żagla i żywności.

Okręt amerykański spotkał go i zawiózł do N. Jorku. Sama ucieczka przewyższa śmiałością podobnie wykonane umknięcie Rocheforta z N. Kaledonji.

Wkrótce po przybyciu do Ameryki, wydał O'Reilly zbiór poematów na tle australskim osnutych. Najcenniejszą w nim perłą jest „król Wassy" powieść poetyczna, przedstawiająca losy i walki pokolenia przeznaczonego na zagładę, w skutek strasznego napływu Europejczyków. Temat to dość tragiczny i pozwalający poecie oblać urokiem ideału szczątki nędznej rassy, z której za pół wieku i noga nie pozostanie. Lecz w poezyi bardziej upiększa utwór cały wprowadzenie potomka białej rasy,—dziecka rozbitka, jako naczelnika Papuanów. Król ten biały przeżył wszystkich poddanych, i zawieziony do osad przechodzi przez wszystkie cierpienia, jakich doznać musi każdy samotnik wyrwany z puszczy i wciągnięty w wir cywilizacyjny.

O, Reilly prześlicznie maluje ciągłe zżymanie się zdziczałego pustelnika na formy światowe, ciągłe tęsknienie za dawną ptaszą wolnością, a wreszcie uczucia tak pięknie opisane w poemacie Syrokomli. „Janek cmentarnik" zgrzybiałego starca wracającego do wioski rodzinnej, opuszczonej dzieckiem, o której marzył i za którą wzdychał mężczyzną, by zobaczyć jak rodzinne gniazdo smutniej wygląda jak najdalsza obczyzna. Cmentarnik amerykańskiego poety zręczniej nawet wyraża ból doznany w skutek ujrzenia już tylko grobowców druchów młodości swej, jak ów stworzony przez litewskiego wieszcza.

Na wstępie do niniejszego sprawozdania, wspomniałem o humorystach amerykańskich i autorach humorystycznych powieści i podróży: sposób ten pisania musi najlepiej popłacać w Ameryce, gdyż wszyscy znakomici dowcipnisie robią tu olbrzymie fortuny. Autor podróży na około świata p. t. Innocents abroad (niewiniątka za granicą) Mark Twain, buduje z owoców swej pracy najkosztowniejszą Willę w Ameryce, rywal jego, Billing, zbiera tysiące z odczytów swych na których wprost powtarza ustnie co wydrukował przed miesiącem.

Tu muszę wspomnieć o odczytach amerykańskich. Nie ma tu prawie autora, nawet w dziedzinie nauk ścisłych, któryby nie pragnął za pomocą odczytów upowszechniać swe idee, i nie uważał je za skuteczniejszy środek do uzyskania rozgłosu jak wydawanie książek. Agassis, rywal Humboldta, w podróżach jeden z naskrzętniejszych badaczy geologicznych, bezustannie już to odczytami, już to nader przystępnemi artykułami w magazynach, zbijał teorye Darwina i Huksleja.

Dickens, Wilkie Collins i inni znakomici powieściopisarze angielscy, przebiegli Stany Zjed. od końca do końca, odczytując swe płody i stotysięczne zyskując majątki. Tłum bazgraczy i szarlatanów naśladuje ich, gdy zaś szarlatanizm nigdzie tak jak u nas nie popłaca, wiele z nich wzbogaca się w łatwy sposób. W stolicy naszego stanu St. Paul, mieście zaledwie 20,000 ludności liczącem, w tygodniu pojawia się jakiś „sławny *lecturer*" i pletąc koszałki opałki, nie źle zbiera żniwo. Kobiet miewających odczyty tyle tu prawie co i mężczyzn, pomiędzy niemi Eliza Young, dziewiętnasta żona proroka Mormonów, zbieg z haremów Uty, piorunujący na dawnych współwyznawców z zaciętością odszczepieńca, odgrywa rolę znakomitą. Piękność jej, wymowa i otwarte wypowiadanie tajemnic wielożeństwa, nie mało ściągają ludzi na prelekcye antymormońskie. Inna pani, najlepsza żona i matka w domowem życiu, lecz odgrywająca rolę proroka wolnej miłości, także nabyła rozgłosu wskutek podróżnych odczytów. Dziwnie brzmią z ust tej młodej, pięknej i zresztą przykładnej kobiety, dowodzenia przeciw węzłom małżeńskim. Jak zresztą łatwo tu zyskać choćby herostratesowską reputacyę, dowodzi przykład półgłówka i awanturnika, J. Franciszka Fraina. Istota ta bez nauki i ogłady, tworząc niezliczone niepraktyczne pomysły i objeżdżając Stany Zjed:, Anglią, anawet Australią, forsownemi marszami wdarł się na wyżynę popularności. Nie prędko poznano się że płytkość ukrywała się za maską gadatliwości, dziś nawet jeszcze wiele osób ciśnie się do sali odczytów, ilekroć Train przemawia z trybuny.

Pomimo że skwapliwość moich współobywateli w słuchaniu odczytów, sprzyja szarlatanizmowi, niemniej przyczynia się i do krzewienia wiedzy. Widok starego Szwajcara Agassyza, czytającego akcentem cudzoziemskim, lecz przecież uzyskującego oklaski najwyższych klas Bostonu, musiał być ciekawy. Strata tego przybranego obywatela, przykre sprawiła na ogół ludności wrażenie.

Jak on pokochał nowych swych ziomków! (a któż nienapojony przesądami europejskiemi kochać ich nie będzie?) tak oni chlubili się nim niby rodowitym Amerykaninem. Agassiz umarł, jak to mówią Anglicy w pełnej zbroi, bo do ostatniej chwili pisał i badał. Długi lecz, nie ukończony artykuł popularny umieszczony w jednym z Tygodników, zbijający geologicznemi faktami hipotezę darwińską o przetwarzaniu się i udoskonalaniu rodzajów był ostatnią pono pracą jego. Nie mnie wypada mieszać się do walki pomiędzy olbrzymami wiedzy, choćby stosując się do allegoryi Getego o smokach i pośredniku, lecz cokolwiek obszerniej powtórzę główny argument chrześcijańskiego geologa przeciw obłędowi (wedle jego zdania) nowoczesnych *ewolucionistów*. Agassiz wręcz broni idei *palaentologistów* czyli wierzących w stworzenie wszystkich pierwotnych typów, przeciw ewolucyonistom, dowodzącym, że w skutek walki o byt i naturalną selekcyę, ogromna liczba innych rodzajów wytworzyła się z jednego lub kilku pierwotnych organizmów. Twierdzi on, Agassiz, że łatwiej pojąć bezustanną działalność Stwórcy i stwarzanie nowych kształtów odpowiadających nowym warunkom bytu, powstającym wskutek ziemskich przemian, jak przemian z form roslinnych lub zwierzęcych.

Jeżeli, powiada, każdy nowy pomysł ludzi, wypływ nowych i nieustających aktów myślenia, nie dziwi nas, czemużby nowe akta stworzenia, czyli pomysły Opatrzności, były niepojętemi? Cały ten ustęp kończy ubolewaniem, że młodzi nasi uczeni mniej polegają na niezmordowanych badaniach zjawisk przyrody, jak na spekulacjach o przyczynach badanych faktów. Kto tak w puszczach i laboratorjach pracował jak Agasiz temu wolno zaiste utyskiwać w ten sposób.

Dowodzenie jego przeciw stopniowemu rozwojowi rodzajów, warto przytoczyć w skróceniu. Wedle zasady ewolucyonistów, wyższe twory z niższych się wyradzając i zjawiając na ziemi później od nich, powinnyby w nowszych pokładach zostawiać swe szczątki. Otóż najniżej pomiędzy pacierzowemi zwierzętami stoją *Amphioxus* i *Myozotis*. Dla czegoż szczątki ich znajdujemy tylko w warstwach już nawet ślady człowieka zawierających, więc najnowszych, podczas gdy zakamieniałości ryb najdoskonalszych, zbliżonych do *mammaliów* prawie (ssących zwierząt) o wiele dawniej się utworzyły. Jeżeli *Amphioxus* był praojcem owych ryb, powinniśmy w starszych go znaleźć pokładach: jeżeli zaś wiedzie swój ród od nich wtedy nie amelioracya lecz deterjoracja ras zaszła.

Nie wiem co odpowiedzieli darwiniści na to dilemma i nie mogę wydać sądu, czy rekiny czy węgorze pierwej po świecie się błąkały, póki nie usłyszę argumentów przeciwnego obozu.

Inne dzieła geoligoczne Agassiza, jego badania lodowców, mieszkanie na glasierach Aary, zgłębienie mórz koło przylądków Horn i Dobrej Nadziei, oraz geologiczne prace, nadto dobrze znane bym się o nich musiał rozpisywać. Książka Pana Rickie, geologa angielskiego, wielkie budzi zajęcie pomiędzy ludźmi lubiącemi obliczać dawność rodu ludzkiego, i zgorszyła fanatycznych sekciarzy protestanckich, tłomaczących księgi Genzey dosłownie i jak Kalif Omar niegdyś, potępiający wszystko co tam nienapisane. Rickie poświęcił swą pracę głównie opisom *Wieku lodu* owej pory gdy lodowce sięgały od bieguna do południowej Anglii i Skandynawii, tak że te kraje musiały wyglądać jak nowoczesna Grenlandya. Otóż twierdzi on, że w tej porze, lub tuż po niej, ród ludzki nie tylko istniał lecz wyrabiał kamienne narzędzia, które znajdujemy w słynnej jaskini *Kent*.

W grocie tej znaleziono najpierw pokład czerwonej gliny, właściwej pieczarom, zawierający szczątki tropicznych zwierząt i kamienne narzędzia człowieka *neololicznego* czyli świeższej daty. Dalej przecięto stóp 12 przez pokład stalagmitu, utworzonego w bardzo powolny sposób. Stalagmit ten pozostawiony przez sączące się wody, nasycone wapieniem, musiał przez lat tysiące powstawać, gdyż na narzędziach znalezionych na jego wierzchu, od czasu Rzymian do dziś tylko 6 cali było osadu z wody wapieniem nasyconej.

Pod grubą warstwą wapienia, znajdziemy pokład gliny pieczarowej, zawierający oprócz mniej kształtnych ludzkich kamiennych wyrobów, i kości wygasłego już pieczarowego niedźwiedzia, renów, psów, wilków, słowem zwierząt lubiących lub znoszących ostre klimata. Gdy ta warstwa się tworzyła, człowiek, pierwszy gość tego rodzaju w Anglji, mieszkał tuż obok glasierów.

Też same szczątki zwierząt i ludzi znajdujemy w zwirach, na wyżynach wyniesionych często o 100 i 150 stóp nad poziomy rzek nowoczesnych. Żwiry te tylko podówczas mogły powstać, gdy ogromne rzeki wypływały z lodowców i toczyły się ku morzu, odtąd koryta ich zmalały i wyryły łożyska dzisiejsze. Ile wieków pracy zmarnowały wody Tamizy, by wygrzebać dolinę na 4 mile ang. szeroką a 100 stóp głęboką? Cóż za liczba ich musiała płynąć by Nowozelandzka *Shotover* lub Amerykańska *Colorado*, wyryły w twardych opokach kanały, kilkaset, a nawet kilkatysięcy stóp głębokie?

Nim ukończę uwagi nad zjawiskami w geologicznej literaturze, wspomnę nawiasem że i tu i w Anglii, wielki ruch istnieje na tem polu, co raz bardziej zaprzątając nawet nie uczonych. Mianowicie w Anglii, zmienionej w rzeszoto, że tak powiem, przez mnogość kopalni i dającej najkorzystniejsze pole do badań, choćby w skutek rozmaitości formacyi na małej przestrzeni tego mikrokozmu, mnóstwo nowych i ciekawych odkryć wyjaśnia co raz bardziej zagadkę przeszłych dziejów ziemi. Lecz i tu znajdziemy rzeczy ledwie nie przypominające cuda z tysiąca i jednej nocy. W kurchanach i na stepach zachodu, kościotrupy olbrzymów, w kopalniach miedzi, nad wyższem jeziorem, doskonałe narzędzia używane przez rassę górników przedhistoryczną i nie indyańską, w złotodajnych zwirach Kalifornii, kilkadziesiąt stóp pod powierzchnią ziemi, tłuczki i mozdzierze metalowe, olbrzymie żebra, popioły i węgle obozowych ogni; i w ziemi drążone mieszkania,

w Meksyku wyroby złotnicze, którychby nawet wysoko ucywilizowane pokolenie Montezumego nie wyrzeźbiło, leżały głęboko pod dzisiejszą murawą.

Zręczna olbrzymia rassa widocznie zapełniała kiedyś kontynent ten. Zkąd przyszła, co się z nią stało, czy czerwonoskórzy tutejsi pochodzą od niej i jeżeli tak czemu zapomnieli o niej i jej sztukach? oto pytania dla przyszłości.

Od geologów przechodzę do filozofów i polecam wam bardzo ciekawe dzieło zgasłego Stuarta Milla, jego autobiografię. Zgiełk wywołany w publicystyce angielskiej tą otwartą spowiedzią ateizmu, przechodzi wyobrażenie; rozumowania Milla, by dowieść jak rzeczywiście nieszczęśliwym musi być człowiek bez wiary w czekającą go wieczność, podziw ogólny obudzają. Pomimo najstaranniejszego wychowania przez ojca filozofa, Mill, najgłębszy nowoczesny myśliciel i reformator, cierpiał przez całe życie, jak tylko geniusze cierpieć mogą. Szlachetność charakteru, praca dla dobra ludzkości i sława nawet, nie mogły go uszczęśliwić.

Na lat kilka miłość kobiety, żony, którą kochał przez lat 20 gdy do innego należała nie zdradzając swej miłości, rozjaśniła na chwilę ciemność tłoczącą duszę. Po jej śmierci tak maluje swą rozpacz bez nadziei: „Odtąd, kupiwszy domek jak najbliżej jej grobu, mieszkam w nim przez znaczną część roku, wraz z córką, jedyną mą pocieszycielką. Zajęcia jej niegdyś miłe stały się memi, co ona dzieliła ze mną i czemu sprzyjała, stało się celem życia mego. Pamięć jej nawet jest religią moją i tak działam, by każda czynność wytrzymała próbę ogniową jej krytyki, gdyby patrzyła na nią.

Żonie tej przypisuje Mill wiele pomysłów zawartych w dziełach jego, i twierdzi że choć dzieliła jego zdania i dążenia, pałała jednak gorącą wiarą w lepszą przyszłość ludzkości. Wierzyła w naukę, ale więcej w Tego Niepojętego, co jej dał życie, myśl i moc rozważania.

Przeczytawszy ostatnią pracę wielkiego ekonomisty warto cofnąć się myślą w przeszłość, i zastanowić się o ile człowiek tak podziwiany przez rodaków, wpłynął na społeczeństwo angielskie. Doktryner radykalny, rewolucyonista w rękawiczkach i ateista, nie pozostawił wiele śladów po sobie w prawodawstwie ojczystem. Pomimo że każdy półmędrek angielski, przytacza zdania Milla jako niezbite poparcia rozmaitych mrzonek, tylko w gospodarstwie społecznem uznał ogół słuszność niektórych jego doktryn, bo naród kupców i fabrykantów instynktowo łaknie wolnego handlu na całej kuli ziemskiej. Żadne reformy, oprócz handlowych polecane przez niego nie wprowadzone były w księgę ustaw, i raz tylko pozwolono filozofowi zasiąść w parlamencie, by go wkrótce znów pozbawić tego zaszczytu. W Niemczech i na kontynencie, Mill większym był prorokiem jak w ojczyznie.

O potędze geniuszu jego nikt w Anglji nie wątpi, każdy się jednak lęka wprowadzenia w praktykę zasad tak umiejętnie bronionych, a w Ameryce nawet działają wbrew jego ekonomicznym naukom.

Wiadomo wam zapewne, że każda wieś tutejsza prawie, ma gazetę tygodniową, każda 10 tysięczna mieścina 1, 2 a czasem 3 i 4 codzienne. Gdzie Niemcy i Amerykanie mieszkają, tam 4 gazety nie wystarczy, bo każda narodowość i każda partya ma czasopismo w swoim języku. Przesyłka pocztowa ogromnej gazety, cztero arkuszowej, wychodzącej co tydzień, kosztuje od niedawna 1 frank rocznie, dawniej rozsełano je bezpłatnie. Takie pisma prenumerujemy rocznie za jeden lub dwa dolarów.

W Nowym Yorku i innych wielkich stolicach handlu i przemysłu, mamy gazety o wiele większe od *Timesa* angielskiego i liczące przedpłacicieli na setki tysięcy. New York Sun (słońce) ma *pól miliona* prenumeratorów, sławny Herald, wyprawiający Stanleja za Liwingstonem, urządzający na własną rękę wyprawę do północnego bieguna, i posełający nurków a zarazem specyalnych korespondentów, by oglądali i spisali groźny widok 600 trupów w nawie zatopionego parowca *Atlantyku*, posiada 150,000. Właściciel jego, *Bennet*, może utrzymać najszybszy wyścigowy okręt na kuli ziemskiej, i karmić zeszłej zimy tysiące robotników pozbawionych zarobku, zupą i chlebem. Formatem przewyższa Herald Timesa 2½ razy, a doborem treści i przedsiębierczością korespondentów, sto razy pewno. W dzień otwarcia wystawy wiedeńskiej, zjawiły się w nim cztery długie opisy ceremonji tej, otrzymane telegrafem. Wpływ tak wydawanego pisma i kosztującego tylko 5 centów dziennie, musi być ogromny. Oprócz tego mamy dwa pisma niemieckie, dwa angielskie, polskich gazet mamy 3. Wychodząca w N. Yorku i redagowana przez znanego Juliana Horajna, była starannie i zręcznie pisaną lecz gdy niedawno nastąpiła zmiana redakcyi, trudno przewidzieć przyszłe jej losy.

Szwedzkie, Duńskie, Hiszpańskie, Bóg wie jakie gazety, czeskie magazyny i włoskie tygodniki, już mi często wpadały do ręki. Nie są to wydawnictwa europejskie lecz wychodzą tu u nas. W moim stanie (Minnesocie) liczącym pół miliona mieszkańców, znam przeszło tuzin codziennych gazet w sporym formacie, i niezliczoną ilość tygodniowych.

Większość pism tych, pisana jest stylem nadętym, przez niewykształconych kupczyków lub zbankrutowanych hreczkosiei, są jednak i inne bardzo starannie redagowane. Jaki zaś wpływ wywierają na społeczeństwo, dowiedzie propozycya jednego z posłów Izby niższej naszej, by dzieci uczyć czytać z gazet nie z elementarzy. W ten sposób od najmłodszych lat oswajałaby się z polityką i obowiązkami obywateli.

(D. c. n.)

Korespondencya zagraniczna.

Lwów, 10 Czerwca 1874 r.

Zamiast wiosennych rozkoszy, nędza posłużyć musi za wstępny temat dzisiejszej korespondencji, bo w niej streszcza się wynik tegorocznego sezonu wiosennego, czyli mówiąc zgodniej z prawdą i ustalonemi objawami galicyjskiego klimatu, sezonu słotnego. Cały maj zaledwie dwa razy na kilka chwil krótkich okazał nam w całym blasku wiosenny rozkwit przyrody, a zresztą darzył nas tak sowicie deszczem, że w końcu wszystkie rzeki wezbrały i spustoszyły zupełnie znaczną przestrzeń biednego kraju. W niektórych powiatach, całe wsie stały pod wodą a pola po jej ustąpieniu wyglądały jak pobojowisko. Wypadek taki byłby klęską wielką dla każdego nawet zamożnego kraju, a dla Galicji jest on straszną katastrofą. Gdzie indziej bowiem uregulowane rzeki rzadko wzbierają tak silnie, nawet po długim deszczu, jak u nas, gdzie strumień górski wysechający w lecie zupełnie, po kilkudniowej słocie spada na łany rozhukanemi falami. Gdzie indziej po klęsce podobnej otwierają się zaraz liczne źródła ratunku i skutecznej pomocy, u nas ponawia się ona niemal corocznie, a nigdy jeszcze dotąd nie zaradzono jej skutecznie. W roku ubiegłym sejm pamiętał o smutnym losie, jaki czeka ludność wiejską w skutek kilkoletnich nie urodzajów, wylewów i epidemii, uchwalił bowiem zaciągnięcie pięciomilionowej pożyczki krajowej, na budowę dróg i zapomogi dla dotkniętych głodem powiatów. Ale pożyczka mogła być zrealizowaną tylko w piątej części, bo wiedeński parlament i rząd nie chciały uwolnić jej od podatków, które wraz z wysokiemi procentami na trudny do uzyskania kapitał, nałożyłyby na znękany kraj nieznośne ciężary. Dziwnie brzmią powody tej niełaskawości. Kraj zaciąga pożyczkę na własne potrzeby, może więc i powinien płacić należący się skarbowi państwa podatek. Zdawałoby się zatem, że dla państwa jest zupełnie obojętnym los terytoryalnie największej prowincji, że skarb jego nic nie skorzysta na tem, jeżeli pięciomilionowa ludność, uzyskawszy w ulepszonej komunikacji nowe warunki dobrobytu, podniesie się z nędzy. Byłoby to zaprzeczeniem najkardynalniejszych prawideł ekonomii społecznej. Wiedziano o tem dobrze w kołach kompetentnych, ale sprzeciwiano się żądanej koncesji, ażeby czynić zadość systematowi zagłady na jaki skazano samorząd naszego kraju. Sejm zatwierdził pożyczkę i to już wystarcza ażeby ona była niepopularną w wiedeńskiej Radzie państwa. Temu systemowi omal nie uległa już i budowa nowego gmachu dla techniki we Lwowie. Rząd postanowił wybudować gmach za półtora miliona złr. Rada państwa uchwaliła już pierwszą ratę, za którą rozpoczęto roboty wstępne. Gdy w tym roku wypadło uchwalić drugą ratę, przypomniano sobie, że ustawodawstwo o zakładach technicznych należy do sejmu galicyjskiego. W lot pochwycono system wygłodzenia i postawiono Galicji alternatywę: albo sejm zrzeknie się kompetencji ustawodawczej o technice na rzecz Rady państwa, i wtedy otrzyma ze skarbu państwa potrzebne na budowy fundusze, albo budowa pozostawioną być musi wycieńczonemu skarbowi krajowemu. Zdawałoby się więc i tutaj, że państwu wcale nie zależy na oświacie najwięcej zaniedbanego kraju, że w skarbie państwa nie ma ani jednego grosza galicyjskiego! Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności ocalił technikę. Rząd pozawierał już kontrakty z przedsiębiercami, którzy w razie zaniechania budowy, mogliby wystąpić z milionową pretensją. A odmówienie funduszów równałoby się zaniechaniu budowy, bo tak nizko nie upadnie reprezentacya Galicji, ażeby za milion złr. sprzedała jeden, i do tego ważny punkt, swojej kompetencji ustawodawczej.

Jeżeli zatem nasz samorząd natrafia z góry na taką systematyczną zawiść, cóż dziwnego, że przy pomocy niebezpiecznych żywiołów krajowych, organa jego wystawione są na ciągłe niebezpieczeństwo. Niedawno odbywały się w całym kraju wybory nowych Rad powiatowych, i tylko dzięki obywatelskiej gorliwości zacnych jednostek, nie doczekaliśmy się takiego samego zawodu, jaki sprawili nam żydzi.

Ze świata literackiego i artystycznego dzisiaj wyjątkowo mogę podać czytelnikom więcej niż zazwyczaj wiadomości wcale ciekawych. Najciekawszą z nich jest niezawodnie wyrok dramatycznej komisyi konkursowej, która miała do spełnienia zadanie wcale niewdzięczne i niemiłe. Zdawało się bowiem na wstępie że w obec wielkiej liczby sztuk przedłożonych do konkursu, rezultat jego będzie bardzo świetny dla literatury i scen naszych. Tymczasem rzeczywistość zawiodła nawet najskromniejszą nadzieję. O rozdaniu wszystkich nagród nikt nawet nie marzył, bo najwyższa (700 złr.) przeznaczoną była dla sztuki „bezwzględnie dobrej" a takiego dzieła chociażby nawet ów „bezwzględny przymiot miał być tylko „względnie" pojmowany, nie można było na razie wymagać od żadnego z dzisiejszych pisarzy dramatycznych. Ale komisja konkursowa znalazła się w tem smutnem położeniu, że nie mogła nawet przyznać drugiej z rzędu nagrody (400 złr.) a tem samem wystawiła smutne świadectwo przebiegowi tegorocznego konkursu. Trzecia wreszcie nagroda (300 złr.) dostała się p. Juliuszowi Turczyńskiemu, ze Stanisławowa, za dramat „Moimir" ale taką większością głosów i pod takiemi zastrzeżeniami, że tryumfu takiego nie każdy autor dramatyczny powinien zazdrościć p. Turczyńskiemu. Czwartej nagrody, (300 złr.) za sztukę ludową, nikt nie

otrzymał, z tej prostej przyczyny, że nikt takiej sztuki nie przedłożył Komisji konkursowej.

Wypadałoby teraz napisać coś o dotychczasowej karjerze literackiej autora, który pobił w tegorocznym konkursie wielu utalentowanych i znanych pisarzy dramatycznych. Karjera ta jest bardzo skromną. P. Juliusz Turczyński jest z zawodu pedagogiem, a w literaturze dyletantem. Przed siedmiu podobno laty, nazwisko p. Turczyńskiego zaczęło po raz pierwszy obiegać w pismach literackich, z powodu ogłoszonego wówczas poematu epicznego. Krytyka nie bardzo pochlebny sąd wydała o tym utworze, a poemat nie zwrócił na siebie wielkiej uwagi u czytającej publiczności. Nie dawno wystąpił p. Turczyński z nowym utworem, bardzo oryginalnym, a raczej bardzo śmiałym. Zaczął bowiem ogłaszać szereg monografij krytycznych o dziełach Adama Mickiewicza; dotąd podobno tylko dwa poematy zostały w ten sposób opracowane. Pierwszy utwór p. Turczyńskiego nie zdołał przełamać obojętności, a drugi już wprost wywołał niepochlebne sądy. Na ocenienie tych rozpraw, wrzekomo krytycznych, wystarczy już ta sama okoliczność, że autor na kilkunasto kartkowej broszurce, wypowiedział wszystko co wiedział i umiał o jednym z najznakomitszych arcydzieł pierwszego poety polskiego. A trzeba dodać, że broszurka nie była zapełnioną aforyzma ni głębokiemi, lecz przeciwnie w przeważnej części uważaną być może tylko za prozaiczne streszczenie poetyckiej opowieści. W obec takich antecedencji literackich, słusznie wszystkich zdziwił tryumf p. Turczyńskiego na polu dramatycznem. Nie znając Moimira, nie możemy powiedzieć, czy jest on płodem nowego rozwijającego się talentu, czy tylko dowodem że komisja konkursowa omyliła się w sądzie. A tegoroczny skład komisji konkursowej nie zupełnie wyklucza ostatnią ewentualność.

W jesieni doczekamy się niepospolitego dla nas zjawiska, powstaną bowiem naraz dwa pisma literackie o wielkich rozmiarach. Jedno wydawać ma księgarz Rychters w współce ze znanym wydawcą Biblioteki powieści i romansów A. J. O. Rogoszem, a drugie księgarz Gubrynowicz. Obaj wydawcy odgrażają się, że zrobią niebezpieczną konkurencję pismom warszawskim, a obaj dotąd jeszcze oglądają się do koła za współpracownikami. Najgłówniejszą trudność stanowi zaangażowanie redaktora, bo kandydatów odpowiednich w całem tego słowa znaczeniu, obecnie nie ma może wcale we Lwowie. Pismo zapowiedziane przez p. Gubrynowicza, posiada obecnie nierównie więcej sympatji niż projekt p. Rychtera ale ten ostatni wydawca będzie antagonistą bardzo niebezpiecznym. P. Rychter dowiódł na „Strzesze," że jest bardzo sprytnym przedsiebiercą literackim, a obecnie łączy się z p. Rogoszem, który na swojej „Bibliotece powieści" i na „Dzienniku polskim" złożył dowody niepospolitego talentu administracyjnego i organizacyjnego. Co do konkurencji z warszawskiemi pismami, uważamy groźbę obu wydawców za niestosowną na początek reklamę. Każdy z nich dokaże cudu i położy ogromną zasługę, jeżeli tylko stworzy pismo literackie, któreby w skromnym zakresie zdobyło sobie warunki samoistnego, trwałego istnienia. Będzie to zadanie jak na Galicję bardzo trudne w tej chwili.

Sprawozdanie o tegorocznej wystawie obrazów odkładam do przyszłego listu, bo jest ona w tej chwili jeszcze nie całkiem kompletną. Ogólne wrażenie nie jest bardzo świetne, ale za to w wysokim stopniu pocieszające. Na wystawie bowiem renomowani są w znacznej liczbie młodzi, prawie początkujący artyści, których dzieła noszą znamiona pięknych i sumiennych studjów.

B. L.

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

Hrabia Leon Tołstoj, autor *Lat dziecinnych* i *Młodocianego wieku*, ślicznej autobiografij pełnej naiwności i uczucia. napisał wielki romans historyczny p. n. *Wojna i pokój*. Rzecz dzieje się na początku tego stulecia, w pamiętnej dla Rosyi epoce 1812 roku; tu w udatnych obrazach autor przedstawia obyczaje ówczesnej artystokracyi.

Od pewnego czasu. co tylko wyjdzie z druku. ważniejszego lub nawet choćby tylko przelotnego używające rozgłosu, w piśmiennictwie różnych krajów europejskich lub też w Ameryce. bywa niezwłocznie przekładane na język rosyjski, i chętnych znajduje czytelników.

W ostatnich latach pojawiła się niezliczona liczba przekładów, począwszy od wielkich dzieł klasycznych starożytnych i tegoczesnych z literatury niemieckiej, angielskiej, hiszpańskiej, włoskiej, francuzkiej i polskiej, aż do najmniejszych powieści, romansów, dramatów, komedyj, wierszyków, broszur i rozpraw bieżących; oczekiwanych nie raz tak niecierpliwie, iż zdarzało się niekiedy że wydanie rosyjskiego przekładu, uprzedzało ogłoszenie orginału.

Wszelkie utwory autorów współczesnych, mające jakąś wartość, były niezwłocznie tłómaczone. Wydano w przekładzie wszystkie niemal dzieła Wiktora Hugo, Jerzego Sand, Dumas'a, Feval' a, pp. Erckman i Chatrian, *Jamby* Barbier' a, powieści Laboulaye'a, nie wyłączając nawet *Latarni* Rochefort'a i *Rabagas'a* p. Sardou; Romanse Dickens'a, Tackeray'a, Elliot'a, Trollop'a, Collins'a. poezye Longfellow'a, Browning'a, pisma Heine'go, Auerbach'a, Spielhagen'a, itd.

To ubieganie się za przekładami wszelkich ważniejszych utworów literackich, i tych które z jakichbądź powodów miały rozgłos w Europie, rozciąga się i do dzieł z dziedziny nauk przyrodniczych, filozofji, historyi, medycyny, sztuk i rzemiosł, ekonomji społecznej, polityki itd. itd Oświeceńsza publiczność śledzi ciekawie nowe odkrycia i postępy we wszelkich gałęziach działalności ludzkiej, i z zajęciem czyta przekłady dzieł: Gerwinus'a, Scherr'a, Humboldt'a, Maxa Müller'a, Buckle'a, Draper'a, Lewis'a, Darwin 'a, Spencer'a, Stuart'a Mill i w. i.

W ostatnich czasach piśmiennictwo historyczne wzbogaciło się wielu ważnemi dziełami, o główniejszych epokach i faktach, odnoszących się do najciekawszych ustępów historyi Rossyi, jak n. p. do jej stosunków z Mało-Rossyą. z prowincyami nadbaltyckiemi, do stosunku różnych sekt z kościołem prawosławnym, od daty ich powstania aż do naszych czasów. Dalej ukazały się pamiętniki wielu znakomitości z XVIII wieku, odnoszące się do panowania Katarzyny II, powstania wolno-mularstwa, do panowania Aleksandra I, którego historyę napisał Bogdanowicz, do starożytności i pomników piśmiennictwa dawniej i średniowiecznej Rossyi, do historyi ludów sławiańskich, nad którą pracował znany sławianofil Hilferding.

Dwa pierwszorzędne przeglądy, umiejące odpowiedzieć swemu zadaniu *Starożytności rossyjskie* i *Archiwa rossyjskie*, wychodząc dotąd, podtrzymują zajęcie i gorliwość do badania historycznej przeszłości Rossyi.

W latach ostatnich pracowano także gorliwie nad historyą piśmiennictwa rossyjskiego. Wymieniamy tu najważniejsze w tym przedmiocie. *Historja literatury rosyjskiej* Galakowa, doprowadzona do Kryłowa, odznacza się objektywnością sądów autora, jego erudycyą, i wolna jest od obmyślanych uprzednio teoryj, odnośnie do traktowanych materyj.

Dalej *Szkice literatury rosyjskiej* Karaułowa; jest to zajmujące opowiadanie o autorach z XVIII stulecia.

Tegoczesna rosyjska literatura Vodowozowa; autor rozbiera szczegółowo znakomitszych pisarzy najpiękniejszego okresu piśmiennictwa rosyjskiego, od Żukowskiego aż do Gogola, oraz próbki krytyki Dobrolubowa i innych.

Kończąc ten krótki szkic liturutury rossyjskiej o obecnym jej stanie, należy jeszcze wspomnieć o różnych wydawnictwach perjodycznych petersburskich i moskiewskich, z pomiędzy których odznaczają się następujące przeglądy miesięczne: *Wiestnik Europejski, Rocznik ojczyzny, Dzieło* i *Wiestnik rosyjski.* Pismom tym można jednak zarzucić, obok wielu zalet, iż za nadto żywią się przekładami z obcych, a szczególniej z francuzkich przeglądów.

Obok tego, główniejsze codzienne pisma polityczne rossyjskie, długie szpalty swych kolumn przeznaczają sprawozdaniom literackim, jużto zamieszczając krytyki sztuk przedstawianych na scenie, już to rozbiory dzieł nowych, lub nareszcie rozmaite artykuły odnoszące się do piśmiennictwa.

KONIEC

Korespondencya zagraniczna.

Kraków, 15 Czerwca 1874 r.

Wypadki i zdarzenia, które czas, a w nim ludzie, płodzą, tak szybko następują po sobie i w tak nieproporcyonalnej ilości, że właściwie zastanawiać się nad niemi niepodobna, znaczenie ich oceniać, wnioski choćby najdoraźniejsze z nich wyprowadzać i naukę dla obecnych lub przyszłych pokoleń czerpać. Zaledwie spis dokładny, potrzebie chwili i żarłoczności ludzkiej odpowiedzieć może.

Ponieważ dziś wszyscy o wszystkiem wiedzieć chcą, rozumieć i w ostatniej instancyi o najważniejszych sprawach naukowych i społecznych stanowić; ponieważ nastało ogólne równouprawnienie pomiędzy uczonemi i nauki spragnionemi, mądremi, i niemądremi, staremi i młodemi. uczciwemi i z nieostrożności albo łatwowierności uczciwych zręcznie i dowcipnie korzystającemi, (dawniej tych ostatnich krócej i dobitniej nazywano, dziś cywilizacya dobitnych wyrazów nie używa, chybaby się taki ucywilizowany mąż pierwej do redakcyi którego z dzienników Lwowskich zapisał) mówimy więc, w czasie takiego ogólnego równouprawnienia zarówno o wszystkich wypadkach donieść musimy, choćby czytelniczki Tygodnika Mód niekoniecznie bardzo zainteresowane były, że wyszły trzy ogromne tomy w tekście łacińskim dzieł Długosza, lub o rachunku różniczkowym Folkierskiego.

Zacząć wypada od Akademii Umiejętności, bo to wszystkich od razu zainteresować musi. Na ostatniem walnem posiedzeniu przeczytano listę kandydatów do krzeseł akademickich; rzecz naturalna i sprawiedliwa, że w niej każdy z obecnych a następnie czytelników sprawozdania, swoje nazwisko tam usłyszeć lub przeczytać spodziewał się.

Jeśli wielu bardzo nadzieja zawiodła, nie zawiedzie pewnie na jednem z następnych posiedzeń, których przez lata nieskończone, nieskończona liczba będzie; odbywają się zaś bardzo często, bo co rok regularnie

w Maju. Tymczasem pokrzywdzonego w tym roku, niezaproszonego do krzesła akademickiego, opinia publiczna na tronie swoim posadzi i pokaże dowodnie, że uczeni prawdziwi po rynku bez wieńców chodzą, a nie tam w gmachu na Sławkowskiej ulicy.

Otóż opinia na teraz nie umié z praw swoich korzystać; bo przeczytani w liście są dopiéro kandydatami, o których wolno rozprawiać, zasług im dowodzić lub przeczyć, chwalić lub ganić przez całe pół roku, akademija zaś przysłuchując się tym głosom, może w nich prawdę lub fałsz znaléźć i uchylić w obec nich czoło.

Z zagranicznych proponowani istotnej naukowej zasługi mężowie: Zejssberg i Hr. Uwarów. Pierwszy był niegdyś prof. w uniwerstytecie Lwowskim, pisał wiele i gruntownie w materyi historycznej, dotyczącej szczególnie kraju, w którym wiele lat przebył, dziś ma katedrę w Insbrucku; drugi jest prezesem Tow. Arch. w Moskwie, znany zaszczytnie uczonemu światu.

Akademia tutejsza istotnie pracuje z zapałem i wytrwale; podzielona na liczne w trzech swoich wydziałach kommisye i podkommisye, czyli komitety, odbywa posiedzenia codziennie, czasem po dwa jednocześnie i wielu z po za murów swoich biegłych w nauce tej i owej do współdziałania zaprasza. Archeologii prace są w tej chwili najwidoczniejsze: raz dla tego, że istotnie dobre usposobienie do poszukiwań zabytków przeszłości jeszcze nie ostygło, drugi raz że owoce tych poszukiwań prędko się osiągają i są niejako dotykalne. Uważcie na przykład zacni czytelnicy, jaki ruch w sferze działania tego rozwinięty: Pan *Jan ze Śliwina* objeżdża i rozkopuje wschodnią Galicyę z polecenia Akademii; dotychczas więcej antropologia podobno jak archeologia na tych poszukiwaniach zyskać miały, i pierwszy transport ciekawych okazów w tych dniach do Krakowa zawitać nie omieszka. Pan J. N. Sadowski z podobnemi zamiarami wyprawiony został do Wielko Polski; znakomity profesor w szkole sztuk pięknych Wł. Łuszczkiewicz tamże badać będzie zabytki sztuki w towarzystwie chciwego wiedzy i zapału Maryana Sokołowskiego. Pan Umiński w podobnym celu zwiedzi okrąg krakowski, a na zjazd antropologiczny wkrótce odbyć się mający w Sztokholmie, na który jedyny człowiek z nazwiskiem na *ski* kończącym się zaproszonym został, mianowicie pan prof. Uniwerstytetu Łepkowski, wydelegowała Akademia Kraszewskiego, rzeczywistego swego członka. Nie dosyć na tém: *Smocza Jaskinia*, czyli *Jama* na Wawelu, wzdłuż, wszerz i w głąb rozkopaną została. Kommissyi pod kierunkiem prof: Alta, w pracy tej dopomagała najuprzejmiej Inżynierya wojskowa, a uczniowie archeologii Kruszyński, Niemojowski i inni służbę nadzorczą pełnili. Smocza jama, prócz mnogich skorupek i jednego kozika nic odkryć sobie nie pozwoliła; umiejętność jednak praktyczna zyskała wiele, bo się nauczono kopać i obserwować. Nie obcą tym poszukiwaniom była myśl znalezienia człowieka pospołu z małpą, choćby samej małpy i na nieszczęście, ani małpy, ani ryby, tych ulubionych dziś ojców ludzkości, nie znaleziono. Tracić nadziei nie trzeba, co się przewlecze, to nie uciecze; raz przecie spragniony człowiek, czuły syn dostojnego ojca swego znaléźć musi.

Najbliżej treścią swą obok Akademii stoi Uniwersytet; prace jego mają się już ku schyłkowi, a katedry wakujące od lat dwóch nie obsadzono. Klinika chorób wewnętrznych dotąd nie obsadzona dla braku godnych kandydatów; godnym podług przekonania fakultetu mógłby być tylko Niemiec, w braku Niemca choćby mąż z językiem nadłamanym mile przypominający Niemca a takich nié ma pod ręką. Był jeden młodzieniec wielkich zdolności, gdy odmówili proponowani i zapraszani panowie Ch. i R., falkultet rad że ci nie przyjęli, młodzieńca pominął, bo uczeń Krakowski: jakże uczeń wczorajszy miałby dziś zasiąść w radzie obok swojego proffessora? to byłaby rzecz gorsząca, więc dalsze poszukiwania nad *godnymi* (jak wyżej) kandydatami trwają, oby się nie powiodły?

Katedra historyi powszechnej ze stanowiska austryackiego po ś. p. Wachholtzu oczekuje oświadczenia ministra; fakultet przedstawił doktora W. Kętrzyńskiego, wielkiej nauki i pracy człowieka, któremu raz już tę katedrę dawano.

Katedra po Sucheckim najtrudniejszą do obsadzenia będzie, jeśli toczące się, jak mówią, rokowania o zdolnego wielce kandydata P. Bodoin de Courtney, nie wydadzą pożądanego skutku. Domyślacie się zapewne, że tu idzie o filologią porównawczo słowiańską.

Lada dzień mogą zawakować i inne katedry; skoro zasłużeni niezwykle mężowie, dotąd z zamiłowania do przedmiotu pracujący pomimo wieku i sił starganych, ustąpić postanowią.

Biblioteka, raczej zarząd jej bardzo się wzmocnił nominacyą Kustoszem Dra Wisłockiego; świadomi rzeczy uważają go za znakomitość piérwszorzędną.—

Jeżeli przez pośpiech lub dla skrócenia mowy, wymieniając nazwisko jakiego uczonego męża, opuszczam uroczysty tytuł *doktora*, czytelnik raczy łaskawie domyśleć się go, ponieważ panuje tu zwyczaj niemiecki tytułowania wszystkich, którzy na jakim bądź fakultecie stopień ten otrzymali, noszenia zawsze, na wierzchu we wszelkich stosunkach najdrobniejszych życia swej dostojności. Doktorem filozofii *np.* mianuje szewc, gdy mu bierze miarę na buty, kupiec, kiedy towar sprzedaje, lokaj gdy go ubiera lub rozbiera do spoczynku układając. Zdarza się czasem, że ktoś do świata naukowego należy, a doktorem nie jest; położenie jego staje się dla tego braku nie naturalnem i pewnym rodzajem ubóstwa moralnego trąci. U Niemców, gdzie uniwersytetów jest wielka liczba, a więc łatwość odbycia na nich najwyższych studyów, powszechnie młodzieniec miałby zamkniętą drogę do wszelkich urzędów, gdyby stopnia naukowego nie posiadał, a ponieważ pośrednich stopni nie ma, więc wszyscy muszą być i są doktorami.

Stał się tu wielki wypadek, o którym doniesienia odkładać nie można, bo już za parę dni przestanie być wielkim: prezydent miasta Dr. Dietl podał się do dymisyi; mowę jego pożegnalną z nadzwyczajnym przyjmowano zapałem, jako wyraz uznania zasług znakomitych tego męża. Zdaje się jednak, że Magistrat już prosić nie będzie o cofnięcie rezygnacyi, bo już czynią się zabiegi wielkie na wszystkich punktach, aby ten lub ów kandydat godność prezydenta otrzymał: kandydatami najprawdopodobniejszemi są: Zyblikiewicz i Wejgel za 10 dni rzecz już będzie rozstrzygnięta.

Wracamy do spraw naukowych. I. J. Kraszewski przesłał na ręce prezesa Kommissyi Archeologicznej Dr. Łepkowskiego projekt Encyklopedyi Starożytności i Słownik wyrazów. Zanim na podstawie tego projektu i wszechstronnego rozbioru przedmiotu tak bogatego, a wiele jeszcze bardzo przygotowawczych studyów wymagającego, jak niemniej rozstrzygnienia licznych spornych lub całkiem niejasnych kwestyi Akademja przystąpi do podobnego dzieła encyklopedya Kraszewskiego wkrótce do druku pójdzie, jak tylko szkic dotychczasowy Słownika stosownie opracowanym zostanie.

O wielkiem wydawnictwie dzieł Długosza nakładem dziś już syna Hr. Gustawa Przeździeckiego, które niegdyś podjął najzacniejszy z mecenasów i sam biegły historyk i pisarz Aleksander Przeździecki, wiecie naturalnie dobrze, jako i to, że kierował niem od początku prof. Łepkowski, o tem jednak wiedzieć nie mogliście, co faktem jest, że wyszło świeżo dwa tomy tekstu łacińskiego historyi, bo o tem mało kto wie tu na miejscu, jeśli się sam nie wypyta i nie zobaczy. Jest pewien rodzaj fałszywej dumy, która rządzi wielkimi mędrcami i wielkimi dobrodziejami ludzkości; nie raczą pospolitować się ogłoszeniami, najistotniejszej potrzeby i użytku w dzisiejszych czasach. Ponieważ kalendarz i powiastka wszelka i broszura ulotna posiłkuje się ogłoszeniem, więc Długosz tem samem posiłkować się nie może. A przecież po tych samych brukach, drogach publicznych chodzą wszyscy mieszając się i mijając: mędrcy i głupcy, poczciwi i oszusty starzy i młodzi; do tych samych często na publicznych drogach wstępują zajazdów panowie i wszelki lud na wózkach lub pieszo odbywający podróże, a żaden z pańskości swej nic nie traci, ani w ubóstwie swem zyskuje, więc ogłaszać trzeba często wyjście Długosza i kalendarza ściennego, nawet więcej Długosza, aby się stał tak popularnym jak kalendarz. Wychodząc z tej zasady, wiedzieć należy, że dotąd wyszło *dziesięć* tomów: 3 tomy Libri Beneficiorum, 5 tomów *przekładu* dziejów i 2 tomy tekstu łacińskiego tychże dziejów. Wiedzieć także należy, że wyjdzie wkrótce *piąty tom Jagiellonek* Przeździeckiego, ułożony przez Szujskiego. Że wyszło w ostatnich czasach za poręką rządu pruskiego wiele bardzo ważnych i ciekawych monografii powiatów, miast wsi nawet Wielkopolski z pod pióra pisarzów pruskich: Wuttke'go, Wegnera, Ryszarda, Krügera, Szmita, powinno być także wiadome i czytane, chociaż się tam dowiemy, że wszędzie na ziemi, byli naprzód Niemcy a późniéj, przez grzeczność pomieścili się i innego szczepu ludzie.

KARL HENRYK

PRZEZ

Juliusza Sandeau

z francuzkiego przełożyła Józefa K.

I.

Wielkie czyny poświęcenia, podjęte dla sprawy publicznej, wzruszają mnie, przyznaję. Tłumy je podziwiają, historya wypisuje złotemi głoskami i do nieśmiertelności podaje. Heroizm tak sowicie wynagradzany, wystawiony na poklask ogółu, mniej wszakże uwielbiany, jak ten, który między czterema ścianami, bez świadków, bez podniety sławy spełniany codziennie, jedynie z poczucia cichego, a przytem, jak to prawie zawsze bywa, niewdzięcznego obowiązku.

Życie prywatne ma swoich bohaterów, męczenników większych nad Kurcyusza i Decyusza: oto przytoczę jeden tego przykład.

Około r. 1830 przyjaźniłem się z kilkoma młodemi ludźmi. W jednej urodzeni okolicy, jedne i też same przechodziliśmy szkoły. Wspólna żądza nauki i sławy zawiodła nas potem do Paryża: mieliśmy po lat dwadzieścia i kochaliśmy się.

Co się też stało z mojemi przyjaciołmi, którzy radzi byli żyć i starzeć się razem? Śmierć zabrała jednych, życie rozproszyło drugich!

Dziś każdy z nas schodzi samotnie z przeciwnej strony wzgórza, na które niegdyś wstępowaliśmy razem, trzymając się za ręce; zaledwie dwóch lub trzech zostało, którzy od czasu do czasu obejrzą się koło siebie, pytając: a dokąd to dążysz mój bracie? Ileż tu zawiedzionych ambicyi, ile spełzłych na niczem nadziei. Niestety! szybko minęły urocze lata młodości!

Otóż w tym czasie tak już odległym od nas, przypadek rzucił w nasze serdeczne kółko młodzieńca, którego, wszyscyśmy pokochali jak brata. Zwał się on Karl Henryk. Rodzina przeznaczyła go od najmłodszych lat na prawnika, lecz on w 20 roku życia zapłonął namiętnością, albo raczej objawił się w nim

prawdziwy geniusz muzyczny. Niezawodnie Galileusz lub Spurzheim byliby dopatrzyli w budowie jego czaszki podobieństwa do czaszki Bethowena i Mozarta. Chociaż przystojny, nie był wszakże pięknym, ale ktoby mu przypatrzył się w teatrze opery włoskiej podczas przedstawienia Otella lub Don Juana, dostrzegłby tchnienie boże opromieniające tę twarz bladą. Fantastyczny Hofmann byłby się nią zachwycał.

Karla podziwienie było milczące. Przypominam sobie, żem był z nim na pierwszem przedstawieniu Wilhelma Tella. Nie poruszył się, nie wyrzekł ani słowa, nie wydał okrzyku, nie uczynił najmniejszego gestu ani ruchu wywołanego zapałem. Lecz gdyśmy wyszli, pociągnął mnie zdala od tłumu i nagle rzucając mi się w objęcia, potokiem łez ulżył piersi przepełnionej wzruszeniem. Dusza jego od razu skąpała się w głębiach arcydzieła, wszystko odczuł, wszystko zrozumiał: trzymał mię u siebie przez całą noc, uwydatniając w swej rozmowie cały przepych utworu.

Była-to u niego, jak powiedziałem, prawdziwa namiętność, jedyna, jaką dostrzegłem w nim przez cały przeciąg pożycia z nami.

Chętnie byłby poszedł 20 mil drogi dla usłyszenia symfonii C minor: był biedny, więc pozbawiał się często obiadu dla kupienia miejsca w teatrze włoskim. Dziwił się (a może i słusznie), że Rossini nie został publicznie uwieńczony jak Petrarka w Kapitolium: raz dowiedziawszy się, że wdowa po Mozarcie żyła jeszcze, na seryo zapragnął jechać do niej, aby ucałował jej ręce.

Łatwo pojąć, że przy takiem rozmiłowaniu się w sztuce, sam był muzykiem. Rozumiał też rzeczywiście ten boski język. Czytał partycyą jak my czytamy książkę, a wszystkie te punkciki czarne będące dla nas kroplami atramentu, dźwięczały mu przed oczami, wydając najpiękniejszy koncert. Grał on na skrzypcach, lecz nigdy nie dał się słyszeć, mówiąc, że gra tylko dla siebie i jedynie dla tego, aby mieć akompaniament do melodyi śpiewających w jego duszy. Nie nalegaliśmy też bardzo, sami nie wiedząc, co o tem myśleć. Nasze upodobania i skłonności ciągnęły nas gdzieindziej, a nasze usposobienie muzyczne było albo żadne, albo tak małe, że myśli zajmujące go były dla nas prawie obcemi. Nie mieliśmy szczęścia, aby nas uczono grać na fortepianie, jak-to teraz ma miejsce; nie wyrośliśmy w atmosferze bemoli, krzyżyków, nut całych i wiązanych; to też byliśmy pod tym względem w grubej niewiadomości, ciężkiej do zniesienia od czasu jak Francya przemieniła się w jedną wielką orkiestrę, w której dzieci jej nie poślednie zajęły miejsce.

Więc też uważaliśmy Karla za chłopca serdecznego i tkliwego, umiejącego kochać i znającego się na muzyce: nic więcej on sam o sobie trzymał. Pełen pokory i nie przeceniając swoich zdolności, nie zastanowił się nigdy, czy ta wielka miłość, którą czuł dla muzyki, nie była objawem geniuszu, tlejącego w jego łonie. Bez najmniejszego pociągu wrodzonego, przykładał się do nauki prawa i procedury, i cierpiąc w milczeniu coraz głębiej żłobił swą bruzdę, bo przedewszystkiem była-to dusza prosta a silna, głęboko przejęta poczuciem swych obowiązków.

Oto jednakże, co się stało.

Pewnego wieczora poszedłem go odwiedzić w pokoiku na piątem piętrze, w jednej z ubocznych ulic, i znalazłem go w stanie egzaltacyi trudnej do opisania. Na wpół tylko ubrany, w jednej ręce trzymał smyczek, w drugiej skrzypce; włosy w nieładzie, oczy błyszczące, czoło okryte potem. Skoro mię ujrzał, położył skrzypce i zbliżając się do mnie: Ach przyjacielu, zawołał ściskając mię, jakież to piękne! jakie cudowne! To musi być symfonia, którą anieli i serafini grają u stop Przedwiecznego w dni świąteczne.

Była-to symfonia jakaś, którą wyszperał tego dnia gdzieś na zaułkach i której właśnie probował, gdym drzwi otworzył. W zapale, porywa znów za skrzypce i smyczek, i sadowiąc się przed pulpitem rozpoczyna partycyą.

Pierwszy raz wtedy usłyszałem grę jego. Skończywszy, odwrócił się do mnie, a widząc moje wzruszenie, rzekł, nie prawdaż że piękne? Tak, wykrzyknąłem, przecudowne! i ściskając go tuliłem do serca.

Uszczęśliwiony i nie przypuszczając, żeby gra jego przyczyniła się do zachwytu, w który mnie wprawił tą symfonią, nie opierał się więcej urokowi pociągającemu go, i podobny do śpiewaka, który wzdragawszy się dwie godziny, śpiewa potem bez końca, grał mi wszystkie swoje ulubione kawałki. Ja też nie myślałem go wstrzymać, słuchając w zachwyceniu nie dającem się opisać. Jednocześnie patrzyłem nań z zadziwieniem: gdy grał, działo się z nim coś tak niezwyczajnego, że niepodobna było tego nie zauważyć. Zupełna działa się w nim przemiana!

Jego czoło jaśniało, zdawało mi się, że widzę w około niego świetlaną atmosferę i słyszę elektryczne iskierki pękające wśród zwojów jego złotawych, rozrzucanych włosów. Spojrzenie natchnione, nozdrza rozdęte, usta drżące; w jego postawie, w jego palcach muskularnych wyciągniętych na strunach instrumentu, było coś niezwykłego, poetycznego i malowniczego zarazem, coś co właściwem jest tylko wielkim artystom, a co mierność napróżno sili się naśladować.

Po odegraniu każdego kawałka siadał przy mnie na swem łóżku i tak rozmawialiśmy o ulubionej muzyce. Opowiedział mi przytem, że to niewiele co umie, winien jest staremu wujowi, który mu zostawił umierając swoje skrzypce skarb prawdziwy.

Bo też-to Stradivarius, dodał całując z uszanowaniem i miłością, Poczem grał walca, którego zwykle nazywają *Ostatnią myślą Webera*, czyli raczej tę *Ostatnią myśl Webera*, którą zgodzono się nazwać walcem.

Po skończeniu gry dla zatarcia smutnego wzruszenia wykonał kilka świetnych fantazyi. Spytałem o ich kompozytora, na co mi odpowiedział z uśmiechem, że to jego własne utwory, a widząc mię zadumanym:

— O czemże myślisz? zapytał.

— Zastanawiam się, rzekłem, czy ty nie jesteś czasem człowiekiem genialnym.

Wybuchnął śmiechem, przewracał się po łóżku jak rozigrane kocię, lecz nagle bez pośredniego przejścia, stał się znów poważny. Mój przyjacielu, rzekł do mnie, nie rzucaj niepokoju w moje serce: a potrzebuję wszystkich sił i niemałej, odwagi. Poczem schował skrzypce do pudełka i biorąc kodeks, podłożył go pod głowę, mówiąc:

— Oto moja poduszka: to talizman chroniący mię od pokus sztuki i podszeptów sławy.

W tej chwili druga godzina poranna wybiła na kościele missyonarzy, zawtórowały jej dalsze klasztory; ścisnąłem rękę Karla i oddaliłem się oszołomiony i nieświadomy, co myśleć o tem, com widział i słyszał.

II.

Od tego pamiętnego dnia, zwracałem się co wieczór w uliczkę uboczną.

Kochany pokoik, gniazdko studenta-poety, zdaje mi się, że go widzę jeszcze! Tam-to przepędziłem najprzyjemniejsze chwile mej pierwszej młodości. Widzę jeszcze te ściany, pokryte obiciem w niebieskie paski, dwa okna wychodzące na obszerne ogrody skąd dochodził nas zapach w porze letniej, tu i owdzie portrety litografowane sławnych spiewaczek: Sontag i Malibran; popiersia gipsowe Haydna, Glucka i Mozarta; półki pełne tercetów, sonat, kwartetów i-t.p; kilka książek prawniczych leżących na stole z miną znudzonej powagi; nakoniec ów Stradivarius w pudełku czarno malowanem, wyglądający jak bożek w swojej świątyni: widzę znowu to wszystko, niczego nie zapomniałem; wszystkie szczegóły umeblowania układają się z wdziękiem w mych wspomnieniach w koło miłej postaci, będącej ich duszą i życiem. Po tylu latach oddzielających nas od tych dni uroczych, są pewne pieśni których nie mogę słyszeć bez drgnięcia serca jak naprzykład, *paląca gorączka*, Gretrego, którą Karl bez końca wygrywał na obrzypczach, a ja bez końca słuchałem. Od tego czasu słyszałem wielu wykonawców, bo dzięki Bogu! czego nam najmniej brak w tych czasach, to muzyków. Poznałem bardzo biegłych i sławnych: jedni wykonywali całą operę na jednej stronie, inni naśladowali wszystkie instrumenta, i grali na wszystkich, wyjąwszy tego, który trzymali w ręku.

Znam doskonale cuda tego rodzaju. A jednak, powtarzam to, jeszcze dziś, wyjąwszy dwoich lub trzech wielkich artystów, których Bóg powołał do swojej chwały, zapewne do kierowania orkiestrą Cherubinów, nie spotkałem więcej ani jednego, coby mię tak zachwycał jak Karl Henryk. Prawda, że w takich rzeczach nie jestem znawcą. Jeślim wzruszony, to dobre; jeżeli słucham obojętnie, to nic nie warto. Są ludzie utrzymujący, że to najniedorzeczniejszy sposób sądzenia: przykro mi jest, ale wyrzekać go się nie myślę. Więcej u mnie znaczy uczucie naiwne, prosto wyrażone, jak te wszystkie cuda siły i biegłości, dokonywane przy oklaskach tłumu.

W muzyce, jak w literaturze, jestem zdania Alcesta: przekładam piosnkę Karla Henryka, byle mi ją zaśpiewano dobrze, nad sonety Oronta i nad wszystkie rulady najlepiej wyćwiczonych gardziołek. To też, gdy mi się zdarzało co wieczór, słysząc Karla skrzypce, być wzruszonym aż do łez prawie, łatwo uwierzyłem w jego geniusz.

Wkrótce stał się głośnym wśród przyjaciół; wszyscy go chcieli widzieć, i wszyscy się zachwycali, jak ja. Karl został Orfeuszem naszego grona.

Młodzi zapaleńcy: daliśmy mu przedsmak sławy.

Niestety! mawiał do nas często, przyjaciele, gubicie mię, rzucacie w moje serce upojenie nieszczęsne, obudzacie we mnie niedorzeczne marzenia.

Po co mi ukazujecie to widmo, którego nigdy nie pochwycę? Po co mi podajecie kielich rozkoszy, której moje usta nigdy nie pokosztują?

Jestem skazany na pracę niewdzięczną i życie nieznane światu.

Jednakże wszyscy, wyjąwszy Karla biegliśmy z zapałem właściwym młodości w zawodzie literatury i sztuk pięknych. On, po ukończeniu kursu prawa miał powrócić na prowincyą, skąd przybył. Z natury dumuy i delikatny, nigdy nie wspomniał nam o swem położeniu, ale ze sposobu jego życia łatwo było się domyśleć, że rodzina jego nie była zamożną. Pewnego wieczora byłem z nim sam na sam w pokoju, ktory miał wkrótce na zawsze opuścić; pierwszy raz wtedy żalił się z pewną goryczą na swe okrutne przeznaczenie.

— Wy wszyscy jesteście szczęśliwi, mówił, ale co ja, to muszę żywcem się w grobie zagrzebać.

Przechadzał się po pokoju, jak młody lew zamknięty w klatce, i uderzał się w czoło. Dla ukojenia bólu, wziął skrzypce i improwizował melodye tak pełne smutku, że łzy płynęły mi po twarzy, a i on także płakał. Zerwałem się, pobiegłem ku niemu, i ściskając go w objęciach, pytałem, dlaczego zamiast wstrętnego swemu usposobieniu zajęcia, nie postara się przy pomocy wrodzonego talentu, a może geniuszu, zdobyć sobie wyższe stanowisko na widowni świata, które, jak mi się zdaje ominąć go nie może.

Nie pierwszy-to raz zachodziłem go z tej strony: teraz udało mi się zachwiać jego postanowieniem.

Przypadek zrządził, iż miałem stosunki z pewnym jegomością którego zaszczycał swoją znajomością wielkie Baillot. Ten to jegomość żył w towarzystwie artystów, lubił muzykę, i uchodził za znawcę. Mówiłem z nim o moim młodym przyjacielu z takim zapałem, że zapragnął usłyszeć go. Oznaczyliśmy dzień, i podług umowy zaprowadziłem pana R. do Karla, którego nawet nie uprzedziłem o tem, lękając się odmowy z jego strony.

Oj! ten Karl był, jak wszyscy wielcy artyści, istotą dziwną, fantastyczną, grymaśną. Nie podobna było skłonić go do jednego pociągnięcia smyczkiem, skoro się tylko dowiedział, że ma zaspokoić ciekawość przyjaciela Baillota; nie pokazywał wprawdzie złego humoru, ale zapytał na seryo, czy przyśliśmy z niego żartować. Z trudnością uspokoiliśmy go. Myślałem że przynajmniej raczy pomówić o swej sztuce z panem R. ale gdzie tam; przez cały czas naszych odwiedzin nie mogliśmy go sprowadzić z pola rozmowy o kodeksie, procedurze i pandektach Justyniana. Oświadczył, że nic, a nic na muzyce się nie zna, że go ta nic nie obchodzi i że chętnie oddałby wszystkie peruki Mozarta, Webera, Haydna i Beethovena za jeden włosek z czupryny Tryboniana. Byłem w rozpaczy. Wyszedłszy, czułem się w obowiązku przeproszeniu pana R. lecz ten mi przerwał, mówiąc: Podoba mi się ten chłopiec: postaraj się, żebym go usłyszał.

Otóż jak się do tego wziąłem, i jak dopiąłem celu. W jakiś czas potem ukryłem pana R. w gabinecie oddzielonym od mego pokoju cienkiem forsztowaniem. Napisałem do Karla rano, że go czekać będę wieczorem z jego skrzypcami. Przywoływałem go zawsze, jak tylko byłem cierpiący lub smutny; przybiegał i uzdrawiał mię kilkoma pociągnieniami smyczka.

O godzinie umówionej położyłem się w ubraniu pod kołdrą, czekając na mego lekarza, który nie omieszkał przybyć.

Posiedziawszy kilka chwil przy łóżku, wyjął skrzypce z pudełka, i zaczął grać tak cudnie, jak nie słyszałem jeszcze. Jednakże nie ufając dosyć sobie, niespokojny byłem, co o tem myśli pan R., w swojem ukryciu, kiedy nagle wśród wielkiego ustępu Beethovena, drzwi gabinetu gwałtownie się otwierają pan R., wpada do pokoju i porywając Karla w objęcia, przyciska go do serca. Ja też wyskoczyłem równemi nogami z łóżka na podłogę, a Karl w jednej ręce, mając skrzypce, a w drugiej smyczek, nie mógł się wydostać z duszących go, uścisków. Są na świecie pewni ludzie, którzy sami nic nigdy niedokonawszy, mają jednakże czynny udział w ruchu sztuki i literatury: szczęśliwcy, którzy w braku twórczości odebrali z nieba dobry smak, skłonność i zamiłowanie piękna. Owi improwizatorowie krytycy, spędzają czas w towarzystwie malarzy, snycerzy, pisarzy i poetów. Cały Paryż zna ich z nazwiska, a choć za granicami rogatek wcale nie są znani, używają w obrębie murów stolicy takiego rozgłosu jako największe znakomitości. Doskonale zawiadomieni o wszystkiem, co się dzieje, nie pominą żadnego arcydzieła powstającego w pracowni artysty bez odwiedzenia go przynajmniej raz w tydzień, nie opuszczą żadnego znakomitszego utworu, z któregoby nie schwycili choćby parę najpiękniejszych ustępów.

Znają już dramat Wiktora Hugo, kończący się do *Teatru francuzkiego*, i obraz mający być oddany na wystawę w Luwrze w roku przyszłym, przez pana Gabryela Gleyze. Ich słowa mają powagę, a ich sąd staje się prawem. Natury dobre, wolne po największej części od zazdrości, nienawiści i współzawodnictwa fachownego, witają serdecznie każdy talent poczynający, biorą go w opiekę i pomagają mu w świecie: są oni chrzestnemi ojcami geniuszu.

Pan R. był jednym z tych szczęśliwych. Tegoż dnia zaprowadził Karla, nie pytając go się, czy chce, czy nie, na obiad do siebie, a wieczorem nie mówiąc dokąd go wiedzie, zaprowadził do Baillota.

III.

Wiadomo każdemu a jeśli kto nie wie, to niech się dowie, że Baillot (niepowetowana strata!) zgromadzał u siebie raz na tydzień, niewielu wyborowych artystów, i wykonywał wraz z niemi w obec nielicznych wybrańców symfonie Beethovena i kwarteta Mozarta.

Kto sam nie był tego naocznym świadkiem, nie wyobrazi sobie nigdy, z jakim wdziękiem i dobrocią ten wielki artysta przewodniczył zebraniom, których był duszą i chwałą. W owe wieczory duchy zapewne wymykały się z nieba, aby się przysłuchiwać u drzwi tego przybytku. Na jeden z takich to wieczorów pan R., wprowadził Karla do króla skrzypków. Ja pozostałem w domu, pełen niepokoju i trwogi. Czułem, że przyszłość Karla zależała od tej uroczystej próby: byłem pewny, że nie wróci do domu bez udzielenia mi wprzódy sprawozdania z wieczoru.

W istocie, między jedenastą a dwunastą, wszedł jak waryat do mnie. Rzucił mi się na szyję, i przez pięć minut ani słowa nie zrozumiałem z jego mowy: mówił śmiał się i płakał razem. Nakoniec po przejściu pierwszego wybuchu skłoniłem go żeby usiadł i zacząłem słuchać w upojeniu radości często przerywanego opowiadania jego tryumfu. Żądałem, aby nie opuścił najmniejszego szczegółu: chciałem wszystko wiedzieć, on też wszystko opowiedział: swoje zadziwienie ujrzawszy się w obec p. Baillot, wzruszenie z dobrotliwego przyjęcia przez mistrza; swą radość i uniesienie skoro usłyszał najpiękniejszą muzykę w świecie, wykonaną przez największych artystów na ziemi. Nareszcie, gdy przyszła kolej na część opowiadania najwięcej mnie obchodzącą, wstał z miejsca i głosem pełnym zapału ze spojrzeniem błyszczącem i czołem promiennem.

Słuchaj! zawołał. Oto tak stałem w kącie, skończono symfonię sielankową: patrzyłem na Baillota z uczuciem pobożnego podziwu, wtem spotrzegłem go, jak występuje naprzód, idzie ku mnie, a w końcu podaje mi skrzypce. Zrazu nie zrozumiałem jego żądania; w pomięszaniu wziąłem machinalnie skrzypce i pocałowawszy je ze czcią, oddałem mu je na powrót. Nie oto wszakże chodziło; wtedy dopiero poznałem, w jaką wpadłem zasadzkę. Wtedy miałem ochotę rzucić się na Pana R., i kark ma skręcić, lecz zdawało mi się że w ziemię wrosłem. Chciałem mówić, nie mogłem: wszystkie sprzęty, wszyscy obecni kręcili się na około mnie, a przedemną w samym środku zaczarowanego koła stał Baillot nieruchomy a straszny jak posąg Komandora, podający mi swoje skrzypce. Raz zdawało mi się żem zwarjował, to znów że mi się śni.

Jak długo trwał ten obłęd? nie wiem. Wiem tylko, że przyszła chwila, gdy jak człowiek rzucający się na głowę w przepaść, której uniknąć nie może, wiedziony wściekłością porwałem skrzypce, a za smyczek jak za miecz chwytając, posunąłem się na środek pokoju. Dalej, nie wiem, jak to było; to tylko pamiętam że naraz rozległ się grzmot oklasków, a ja upadłem na krzesło wycieńczony i nieprzytomny.

Przyszedłszy do zmysłów ujrzałem w około siebie przyjazne twarze i samego Baillota z uśmiechem dobroci na mnie patrzącego.

O! mistrzu! zawołałem drżący i pomięszany, schylając się do jego rąk, które uściskałem ze czcią.

On zaś skromny a dobry jak geniusz, otworzył ramiona i uścisnął mie z zadowolenien całego zgromadzenia.

— Jesteś pasowany na rycerza! powiedział pan R. uderzając mię zlekka po ramieniu.

Rzuciłem mu się na szyję, alem go już nie zdusił.

To com przewidział stało się; jeden wieczór zawyrokował o losie tego młodzieńca. Rzucił w kąt prawo i całkowicie oddał się muzyce. Nie zwierzał mi się z walk, które musiał staczać z tego powodu ze swoją rodziną alem łatwo je odczuł. Postrzegłem, że nie odbiera zasiłku pieniężnego, jakiego przedtem ojciec mu udzielał, i że czekające na wziętość i majątek, musi się zmierzyć ze straszliwym potworem, z nędzą. Pod kierunkiem Baillota, który był mu bardzo przychylny i udzielał chętnie nauk i rad, mógł zostać wkrótce jedynym z najsławniejszych skrzypków swojego czasu, ale Karl wzdychał za czemś więcej, a Baillot nie tylko go nie wstrzymywał, ale popychał na drogę kompozycyi, dostrzegłszy w uczniu iskrę z ogniska twórczości. Wreszcie wielki artysta ze smutkiem przewidywał tłumny najazd tych artystów wykonawców, którzy w kilka lat później mieli spaść na jego państwo, jak niegdyś Normandowie na królestwo Karola Wielkiego! Baillot zdawał się przewidywać, że tajemnica téj sztuki pięknéj, którą wzniósł tak wysoko, do grobu z nim zstąpi.

Karl więc zwrócił wszystkie swoje zdolności i usiłowania na naukę kompozycyi. Jednakże trzeba było żyć. Za dumny na to, aby się zwierzył z swego położenia majątkowego czy to przed Baillotem, czy przed panem R. który mógł był go łatwo umieścić w orkiestrze opery teatru, przestawał na dawaniu kilku lekcyi, przepisywaniu nut (jak Russo), wieczorem grywał w orkiestrze jakiegoś teatrzyku na Bulwarach.

W ten sposób zarabiał na utrzymanie z dnia na dzień, a resztę czasu poświęcał pracy w widokach przyszłości, mającéj go wynagrodzić za tyle trudów i goryczy w cichości zniesionych.

W tej epoce jego życia wyjeżdżałem w długą podróż. Przyszedłem pożegnać go w tym pokoiku, gdzie przepędziłem z nim tyle chwil słodkich.

— Za moim powrotem, rzekłem, będziesz sławnym i już nie w tem biednem gniazdku cię znajdę: sława i powodzenie od dawna cię z niego wypędzą, a ja będę dumny, żem pierwszy cię zrozumiał i odgadł.

— Cokolwiek się stanie, odpowiedział czy będę sławnym, czy nieznanym, bogatym czy ubogim, uradują się zawsze, gdy będę cię mógł uściskać.

Rozłączyliśmy się, przyrzekając pisywać do siebie!

(d. c. n.)

Przegląd literacki.

O NIEKTÓRYCH DZIEŁACH

WYDAWNICTWA PRZEGLĄDU TYGODNIOWEGO

przez L.

(Dalszy ciąg).

Odruchy przez J. Sieczenowa. Przełożył Ksawery Budny 1 tomik.

Powyższe ogólne scharakteryzowanie dziełka, poparte i umotywowane słowami autora, uwalnia nas od niewdzięcznej pracy szczegółowo analizować całość niebardzo logicznie powiązaną i sofistyczną. Przytoczymy tylko próbki dowodzeń autora. Dowodzeń—źle się wyraziłem, gdyż najczęściej potrzebnych sobie twierdzeń autor nie dowodzi nawet: dość mu, bez długich mozołów, powiedzieć że „bodaj czy znalazłby się dziś człowiek któryby nie zgodził się na to, że w mózgu ześrodkowywa się całe życie umysłowe,

(str. 8.) Otóż znajdzie się takich dużo, a argumentów przeciwko nim autor nie tylko że nie dostarcza, ale sam im podaje broń do ręki, już to opacznemi sprzecznościami, w których się nieraz plącze, jak o tem przekonamy się niedługo, już to przytaczając ciekawe doświadczenia (str. 54 i 55) nad zwierzętami, które będąc pozbawione głowy wykonywały rozmyślnie wszystkie swe zwykłe czynności.

A oto wyjaśnienie nazwy „organ duszy" nadawanej mózgowi: „mózg jest organem duszy" czyli inaczej; jest takim mechanizmem, który będąc zmuszonym do ruchu jakąkolwiek siłą, daje w ostatecznym rezultacie *nieskończoną liczbę zjawisk zewnętrznych, któremi charakteryzuje się duchowa działalność człowieka*„ (str 8).

Trudno zrozumieć ciemny ten frazes (wina to już tłomacza), ale z całego toku dzieła domyślamy się, że ukrywa się tu myśl, jako cała duchowa działalność człowieka składa się jedynie z zewnętrznych zjawisk zachodzących w mózgu! Wszystko jest mechanicznym ruchem nerwów i mięśni, oprócz (dodaje autor w przypisku) „zmian w oczach, które określamy wyrazami blask, tęsknota" (str. 9.) chociaż tę tesknotę poniżej uważa nie już za objaw zmiany w oczach, lecz za niewytłomaczone uczucie (str. 149). „Wszystkie przedmioty zewnętrznych objawów działalności mózgu„ (znowu ciemne wyrażenie str. 10), a w tej liczbie i namiejętność są czysto mechanicznemi aktami (porówn. str. 163); wszelako na str. 131 czytamy, że za odruchy mechaniczne należy uważać tylko psychiczne akty nieskomplikowane elementem namiętności.„

Powołując się na przykład artystycznej ręki muzyka i ręki rzeźbiarza, która wlewa w bryłę marmuru życie, fizyonomię i namiętności, autor wykrzykuje: jakimże sposobem mogłaby ręka wlewać w dźwięki i obrazy, wyrażenia uczucia i namiętności (szyk wadliwy, zamiast: wlewać wyrażenia uczucia i namiętności w dźwięki i t. d.), jeśliby wyrażenia te nie były aktem czysto mechanicznym (str. 10). Dotychczas w działalności artystycznej widziano właśnie jeden z dowodów tego, że w człowieku nie wszystko jest machiną i ruchem, skoro jest on w stanie w bryły kamienia wlewać uczucia i namiętności, które przecie nie są dotykalnym ruchem, pan Sieczenów twierdzi, że właśnie zjawianie się uczuć i namiętności pod ręką artysty jest dowodem, że te uczucia i namiętności są to jedynie mechaniczne poruszenia ręki! Dalej już trudno żeby mogła kogo doprowadzić ślepa sofistyka!

Jaką argumentacyą dowodzi autor powyższych materyalistycznych i ze zdrowym rozsądkiem sprzecznych założeń? Miasto argumentacyi znajdujemy... zużyte opisy doświadczeń z żabą pozbawioną głowy! Co do tej żabiej argumentacyi, dziwna rzecz, że poważni fizyologowie mogą jej jeszcze używać.

Może niegdyś człowiek (jak się podoba niektórym twierdzić) i był żabą, ale dziś przecie istnieją jakie takie różnice między tem ziemnowodnem a człowiekiem, różnice nawet mózgowe i nerwowe.

Odwołamy się tu do rozbioru dzieła Vacherot'a, Wiedza i sumienie (Tyg. Mód N 51 r. z.) i przytoczymy wyjęte z tego dziełka zdanie według którego u człowieka i zwierząt wyższych nie można odjąć jednych organów bez naruszenia budowy i funkcyj sąsiednich, (Wiedza i sum. str. 17) a to samo już według naszego rozumienia dowodzi, że gdyby było można badać człowieka z wyciętym mózgiem lub uciętą głową otrzymalibyśmy rezultata zupełnie odmienne od wyników podobnych operacyj nad żabami lub gołębiami.

Ale tak prosta logika niedostępną jest dla fizyologów. P. Sieczenów nie strzeże się nawet sprzeczności, gdyż mówiąc o żabie bez głowy, która stara się uciec od bólu, wnet dodaje w przypisku, że zwierzę bez głowy nie może doznawać bólu (str. 13). Dalej autor uznaje jakąś siłę moralną (sic), zdolną tłumić i powstrzymywać ruchy nerwowe, ale wnet dodaje, że ta siła jest wynikiem mechanizmów istniejących w mózgu o czem wątpić nie wolno od 1862 roku, w którym w mózgu *żaby* (znowu *żaba!*) *wykryto* podobne mechanizmy (str. 25).

Wszelako opisu takiego, choćby nawet żabiego mechanizmu, jego kółek, sprężynek, kształtu, składu chemicznego itd. autor nie uznał za stosowne podać zaciekawionym czytelnikom: trzeba mu wierzyć na słowo. Przypuszczenia jakoby siła moralna (np. uczucie przestrachu) mogła zrodzić ruch materyalny nazywa autor niedorzecznością (str 32); ale dla czego jego własne odwrotne przypuszczenie ma być dorzecznem? Jeżeli *A* i *B* są tak odmiennej natury że nie podobna przypuścić, iżby *B* pochodziło od *A*. to czy większe będzie prawdopodobieństwo że *A* pochodzi od *B*?

Mowa dziecka różni się od mowy papugi tem, że jest rozumną, ale ta cecha mowy ludzkiej wynika z „zespolenia wrażeń słuchu i wzroku z wrażeniami dotykania" (str 85). Ma to niby oznaczać, że człowiek dla tego mówi rozumnie, że dobrze za pomocą słuchu i wzroku, obeznał się z przedmiotami, do których pewne nazwy przywiązał; ale każdy wie, że najrozumniej i najporządniej możemy mówić nietylko o takich przedmiotach, których nigdy nie widzieliśmy (Afryka dzieje starożytne itd.), ale i o takich, których widzieć ani dotknąć się nikt nie jest wstanie (logika, psychologia).

Świadomość i poczucie własnego *ja*, podług autora, nie istnieją wcale, o ile nie płyną z dotykania: dziecko np. odróżnia *swoją* rękę od ręki matki dla tego, że musi dotykać się tej ostatniej (a swojej czy dotknąć się nie wolno? str 104). Pamięć, idąc za sensualizmem XVIII wieku (o którym zresztą zaczerpnął tylko ogólne wiadomości jak powiada sam na str. 179), autor uważa za materyalne pozostałości, gdyż „w przyrządach nerwowych w stanie utajenia ?) przybywają (zapewne *przebywają*) dźwięki i obrazy (str. 111); ten *stan utajenia* (ciemne scholastyczne wyrażenie, którego powinniby się wstydzić *trzeźwi* uczeni) gdzieindziej nazywa się zmianami, które wrzekomo zachodzą w przyrządzie nerwowym *za każdym nowym wpływem* (str. 112 i nast.) i przechowują się tam w formie śladów realnych, ażeby potem przy powtórzeniu tegoż samego pobudzenia lub tylko podobnego wystąpić wybitniej. (str 118). Teorya ta nienowa i czasem dowcipna do ułudy, ale pomimo że autor opiera się na świadectwie wzroku, który wskutek długiego patrzenia na jeden kolor, staje się nań *wrażliwszym*, w gruncie okazuje się niedorzeczną. Jeżeli bowiem przyrząd nerwowy słuchu lub wzroku odebrał tysiące wrażeń odmiennych, jakim sposobem może je przechować „w śladach realnych" obok siebie, gdyby nawet i było możliwem takie przechowanie? Gdzie tyle miejsca na te ślady realne w cienkiej niteczce nerwowej, a choćby nawet w mózgu lub całym nerwowym systemie? Niedorzeczność zbyt widoczna. Myśl, według autora, nie może być nigdy przyczyną czynu, gdyż sama myśl jest wynikiem zewnętrznego pobudzenia zmysłowego, bez którego nie byłaby możebną (str. 145 i 146). Tym sposobem, nieprawdą jest jakobym mógł pomyśleć, co mi się podoba choćby np. to, że *myśl nie jest wynikiem zewnętrznego pobudzenia*: ciekawym, od jakiego pobudzenia zależy taka myśl, która właśnie w tej chwili przyszła mi do głowy.

Powyższych próbek dość będzie do wykazania psychologicznej wartości hypotez, które daje nam autora opierając się na fakcie nerwowych ruchów i odruchów. które same są częstokroć bardzo problematyczne, gdyż sam autor swoje wywody nazywa fizyologicznemi hypotezami. Jeżeli więc są one niepewne nawet dla fizyologów, cóż dopiero mówić o ich wartości psychologicznej, którą w głównych zarysach usiłowaliśmy przedstawić.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani T. K. w Kiełpinie. Sprawunki już odeszły, gdyż zaraz po odebraniu pieniędzy obstalunki porobione zostały. Pierwsza książeczka dla dzieci wiejskich i miejskich Bogu dzięki znajduje mnóstwo kupujących. Nie ma dnia, aby się po nią do naszej redakcyi nie zgłaszano.

KORESPONDENCYE.

Pani Bronisławie R. Parasolik: „en tout cas", odpowiedni od deszczu i od słońca kosztuje rs. 5.

Panu Konstantemu Szy. Książeczek objaśniających użycie ręcznej maszyny do szycia nie ma w księgarniach Warszawskich.

Pani E. Ar. Z przesłanych rs. 5 na opłacenie ufarbowanych sukien pozostaje w Redakcyi kop. 31.

Pani Zofii W. Kolor zwany: bleu malade, bleu porcelaine jest to kolor blado niebieski. Suknia może być zrobiona z tuniką i stanikiem francuzkim lub z polonezką. Prosimy o odpowiedź.

Pani Wandzie L. Materyały wełniane w kolorze oliwkowym ciągle są modne. Kolor „Pochard" ma barwę lila czerwonawą. Modne tuniki mają z tyłu kształt spiczastego rogu chustki jak ryciny w N. 18 i 19 Tyg. Mód przedstawiają, lub prosto ścinane są, jak ryc. 1sza w N 18 wskazuje.

Pani Klementynie Ro. Wyrób zwany: toile de lain odpowiedni będzie na suknią na letnie ubranie. Materyał kosztuje rs. 15.

Panu Augustowi B. Srebra wysłane zostały.

Pani E. A. Ile się należyć będzie za ufarbowanie sukien, doniosłem listownie. Sprawunek wysłano przed tygodniem.

Pani Władysławie G. Tuzin koszul damskich może być od rs. 30. Za rs. 48 bardzo są ładne.

Tuzin mężkich koszul podług przysłanej cienkiej próbki płótna dostanie za rs; 60— grubszych tuzin za rs. 36. Na miarę trzeba przysłać koszulę dogodnie leżącą.

Pani Paulinie H. Ornat, o jaki się zapytywano kosztuje rs. 25. Stuła rs. 12.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.